

TERESA HOŁÓWKA

WIEŻA BABEL?

J. M. Tortosa: *Polityka językowa a języki mniejszości*. Warszawa. PIW, 1986, 166 s.

Nie istnieje równouprawnienie językowe, bo nie istnieje równouprawnienie polityczne, ekonomiczne i kulturalne. Z kilku tysięcy języków etnicznych tylko kilkadziesiąt ma status języków urzędowych, a zaledwie kilka — status języków „światowych”. Konsekwencje tego są oczywiste i dobrze znane. Mieszkaniec Paragwaju nie porozumie się w instytucjach publicznych w języku guarani, chociaż używa go na co dzień większość tamtejszej ludności. Wybitny poeta, tworzący po berberajsku, pozostanie prawdopodobnie bardem lokalnym, w przeciwieństwie np. do poety francuskiego. Handlowiec z Tajwanu musi znać japoński lub angielski; inaczej może zbankrutować. Więcej Norwegów mówi po szwedzku, niż Szwedów po norwesku. Co więcej, języki dominujące zdają się w coraz szybszym tempie wypierać języki słabsze. Czyż nie giną na naszych oczach gwary, dialekty i narzecza? Czy ktokolwiek za lat pięćdziesiąt mówić jeszcze będzie po walijsku, łużycku lub w jidysz? Czyż już dziś oplaca się ambitnemu chemikowi, informatykowi, socjologowi z Indii, Brazylii czy Arabii Saudyjskiej publikować cokolwiek w języku ojczystym? Czy cywilizacja nasza nie zmierza wyraźnie w stronę potężnych federacji, w których każdy chcąc nie chcąc zaczyna posługiwać się oficjalnym językiem imperium? Co robić? Popierać ekspansję języków „światowych” i likwidować niedogodny komunikacyjnie pluralizm, czy leż stawić opór tendencjom uniformizującym i podtrzymywać, choćby na siłę, zapędzone w kozi róg języki mniejszości? Jaką strategię językową stosować wobec narastających, masowych migracji: zmuszać przybyszów, by wyrzekali się mowy przodków czy też wspaniałomyślnie dbać o jej rozwój otwierając szkoły, dopuszczając ją w urzędach, popularyzując przez środki masowego przekazu (co wydatnie przyczynia się do zmniejszenia ksenofobii)? Na co zdecydować się w państwie, gdzie — jak dzieje się to np. w Kamerunie — każda prowincja ma odrębny język: wybrać jeden z nich i narzucić reszcie, pozostawić sprawę biegowi czasu czy machnąwszy ręką na tradycje „podłączyć się” językowo do większego organizmu i wybrać powiedzmy arabski?

Przede wszystkim nie trzeba — powiada T o r t o s a — wpaść w panikę i w romantyczne, czarno-białe, uproszczone schematy. Świata nie grozi bynajmniej językowe spustoszenie. Pewne języki i dialekty zamierają, lecz równocześnie inne wykazują zdumiewającą trwałość (np. różnorakie odmiany niemieckiego), przeżywają swój renesans (baskijski) lub dopiero wyłaniają się na dziejowej arenie (środkowa Afryka). W wielu federacjach dochodzi do zrównoważonej wielojęzyczności i nie widać a priori powodów, dla których model ten nie miałby się upowszechniać. Każdy zresztą język etniczny jest zbyt silnym źródłem poczucia tożsamości, by można było go łatwo wyrugować.

Na problemy językowe spojrzeć trzeba bez emocji i bez natrętnie narzucającej się wizji prymitywnych „zwycięzców” oraz szlachetnych „pokonanych”. Konieczna natomiast jest rzeczowa, wielostronna analiza, która w miarę możliwości naświetli sprawę obiektywnie: *nie na korzyść jednego języków i nie na niekorzyść innych.*

Analiza taka rozsadza schematy myślenia, do jakich bywamy skłonni. Ujawnia na przykład, że relacja pomiędzy językiem a narodem nie ma wcale charakteru mechanicznego. Są nacjonalizmy z językiem wypisanym na sztandarach i małe terytoria, na których wciąż dochodzi do zaciekłych waśni językowych, ale są też języki mniejszościowe o ogromnej liczbie użytkowników, nie kojarzące się im z żadnym „narodem” (keczua w Boliwii, Peru i Ekwadorze), a także narody, które od dawna przejęły język „najeźdźcy” i którym kwestia języka zubożyła (Irlandia). Byłoby więc nonsensem zawsze i wszędzie uważać „narod” za podstawowy parametr polityki językowej.

To samo dotyczy „woli ludności”. Ludność często nie przejawia jasnych preferencji: w jednym ze stanów Meksyku za najbardziej pożądanym językiem uznano hiszpański, ale domagano się jednocześnie programów radiowych i telewizyjnych po angielsku i obowiązkowej nauki w języku zapoateckim w szkołach. Co jeszcze ciekawsze, owa „wola” bywa przedziwnie sprzężona z aktualną sytuacją ekonomiczną: recesjom gospodarczym towarzyszy z reguły niechęć do języków mniejszości, hasła „obrony zanieczyszczonej kultury i mowy”, opór stawiany pluralizmowi. Równie niebezpieczny jest kolejny „pewnik” — ratowania za wszelką cenę języka zagrożonego silną konkurencją. To prawda, że każdy język przedstawia własną, niepowtarzalną wizję świata i stanowi dobro samo w sobie; ale to również prawda, że wiele przypadków lokalnego patriotyzmu sterowanego przez intelektualistów, okazuje się zwykłą polityką klasową: elita rezerwuje dla siebie język imperium i dopływ informacji technologicznych, kulturalnych oraz naukowych, resztę zaś rodaków zamyka w werbalnym skansenie i tym samym skazuje na upośledzenie.

Nie wolno języka fetyszyzować. Jest on po prostu fragmentem ży-

cia społecznego. Chcąc wiedzieć jaką prowadzić politykę językową, winniśmy zapytać, jaką politykę mamy prowadzić w ogóle. Tortosa wyróżnia tu pięć typów idealnych. Politykę „czerwoną”, socjalistyczną, cechuje wysoki poziom spożycia, ujednoczenie, silny nacisk i silna opieka, politykę zaś „żółtą”, kapitalistyczną, wysoki poziom spożycia, zróżnicowanie, silny nacisk i słaba opieka. Pierwsza działa raczej na rzecz językowej homogeniczności, druga raczej na rzecz językowych hierarchii. W polityce „zielonej”, ekologicznej (niski poziom spożycia, ujednoczenie, słaby nacisk, silna opieka) przeważać będzie tendencja do traktowania wszystkich języków jednakowo i do ochrony mniejszości. Przeciwnie w polityce „niebieskiej”, autarkicznej (niski poziom spożycia, zróżnicowanie, słaby nacisk, słaba opieka) — mniejszości traktuje się z lekceważeniem. Wreszcie polityka „czarna”, fanatyczna, ignoruje wszystkie wymienione czynniki w imię „wyższych wartości”; wartością taką może być naród i wówczas nie ma granic dla rozpasanego językowego szowinizmu.

Ponieważ społeczeństwo pożądane *musiałoby połączyć sprawność kapitalizmu, solidarność socjalizmu i zdolności twórcze ekologizmu*, Tortosa opowiada się za mieszkanką czerwono-żółto-zieloną. Gwarantowałaby ona zachowanie języków nie pozbawiając ich użytkowników wolności, ani dobrobytu. Pytanie, jak mieszkankę taką sprokurować, pozostaje oczywiście bez odpowiedzi, z czego trudno czynić autorowi zarzut: chciał on tylko sprowadzić problemy językowe na ziemię, odmystykować je i pokazać, że można o nich mówić w kategoriach racjonalnych.